



maj 2001 (5/5)

Teraz My!

Pismo promujące twórczość uczniów
XXI L.O. im. Hugona Kołłątaja

W numerze

Tyle brudu dookoła	1
Quing — japoński wojownik . . .	3
Rozejrzyj się	8
Jeśli nie lektury, to co?	9
Wiersze	14

Redakcja

Epika

Zbigniew Łukowski 2a
Magdalena Zembrzuska 1f
Agata Wójt 1f

Eseistyka

Karolina Siwek 2a
Monika Auguścik 2a
Joanna Chacińska 1f
Marta Krzemińska 1f

Liryka

Karolina Wełnicka 2a
Marta Bereza 1f
Dominika Ruskowska 1f

Wydarzenia kulturalne

Karolina Wełnicka 2a

Rysunki

Jerzy Kołakowski 2a
Marta Krzemińska 1f

Felieton

Jerzy Kołakowski 2a

Opieka dydaktyczna i pedagogiczna

mgr Grażyna Rózewicz

Opieka edytorska

mgr Aleksandra Wróblewska

Tyle brudu dookoła

Ilona Maciąg, kl. 1f

Życie jest ponoć piękne, więc dlaczego nie potrafiemy go wykorzystać, cieszyć się chwilą?

Znowu jest mglisty, deszczowy poniedziałek, znowu trzeba iść do szkoły. Haluna kroczy leniwie, czerwone sznurówki nurzają się w błocie. Nie pasuje do otoczenia. Wszyscy się gdzieś śpieszą, wszyscy na twarzach mają dziwny grymas: pieniądze (tylko to się ostatnio liczy). Nareszcie dostrzega przystanek i kogoś „normalnego”. Pacjent drży z zimna. Od kilku tygodni jest zrezygnowany, nieobecny. W jego głosie nie słychać entuzjazmu. Haluna też jest zmęczona tym wszystkim, ale przecież nie zmieni całego świata.

— Czasami mam ochotę odejść — powiedział tak od niechcenia.

Ona też chciałaby odejść — uciec z domu, zapomnieć o szkole. Codziennie tańczyć dookoła ogniska...

Nie dokończyli rozmowy, Haluna musiała odjechać zatłoczonym autobusem.

Przyjaźń Pacjenta i Haluny istnieje dzięki sobotnim imprezom, które odbywają się u Anki w Piwnicy. Panuje tam półmrok, w powietrzu unosi się woń kadzidełek, do uszu dobiegają wibrujące dźwięki. Niektórzy siedzą pod ścianą z głupkowskim uśmiechem i nieobecny wzrokiem wodzą po ludziach, którzy z takim samym wyrazem twarzy i takimi samymi szklistymi oczami wiją się w dzikim tańcu pełnym euforii. Haluna właśnie wybija się wysoko w górę, jej włosy biegną na wszystkie strony. Pacjent leży pod ścianą nieświadomy niczego. W jego oczach odbijają się rude kosmyki Haluny. Nagle chłopak wstaje, gwałtownie chwytając Rudowłosą za rękę, cały się trzęsie, szybko oddycha.

— Zrób coś z tymi włosami, wypełniają całą Piwnicę, oblepiają moje ciało, oplatają się wokół szyi, duszą... Chodź, coś ci pokażę.

Haluna nie poszła. Pacjent osunął się na podłogę tracąc przytomność. Nikt tego nie zauważył, zajęty własnymi wizjami.

Haluna wraca sama, zła na Pacjenta, że jej nie odprowadził. Nie czuje się bezpiecznie wśród ciemnych alejek. Jeszcze tylko trzeba przejść przez park i już jest w domu. Kilka osób idzie do pracy na nocną zmianę. Nerwowo krok dziewczyny zmienia się w zwykłe powłóczenie nogami. Zauważa kilka osób stojących pod drzewem. To ci sami, którzy chcieli ją i Pacjenta pobić. Ona zdołała uciec, ale jej przyjaciel oberwał. Już za późno, aby zawrócić. Widzi ogolone głowy. Biegną w jej kierunku. Dziś Haluna nie ma siły uciekać ani bronić się. Ludzie oddalają się w pośpiechu...

Pacjent odwiedza ją w domu. Haluna nie wygląda najlepiej.

— Prawie nic mi nie jest. Ulitowali się i nie bili pałami.

— No, rzeczywiście byli bardzo mili dla ciebie. Gdzie była w tym czasie policja?

— Jak zwykle w takich sytuacjach spóźnili się. A właśnie, gdzie się podział pan Pacjent? — dodała z odrobiną pretensji w głosie.

— Chwilowe zaćmienie umysłu. Ocknąłem się, jak już Anka sprzątała. Wymiociny, resztki papierosów, smród... Wstyd mi było, że robimy taki bałagan. Miło było, ale muszę już iść. Szybko wracaj do nas.

Objął ją wychudłymi rękami, popękany ustami delikatnie musnął jej policzek. Haluna stwierdziła, że żegna się z nią, jakby mieli się już nigdy nie zobaczyć. Nie zaprzeczył, tylko cicho zamknął drzwi za sobą. Na klatce schodowej spotkał matkę Rudowłosej i nie było to przyjemne.

— Już nigdy nie zobaczysz Gosi, ja się o to postaram. Zanim ciebie poznała była normalną, grzeczną dziewczyną. To wszystko przez ciebie...

Dalsza część do niego nie dotarła. I tak, jak wróci do domu, to będzie wysłuchiwał wyrzutów matki, bełkotu pijanego ojca. W szkole nie bywa od dawna. Na przystanek przychodzi tylko dla Haluny.

Przez jakiś czas Pacjent nie wychodził z domu. Któregoś dnia do Haluny zadzwoniła Anka. Jej głos drżał:

— Nie wiem, jak ci to powiedzieć. Nie będę owijać w bawełnę. Pacjent nie żyje, powiesił się.

Odłożyła słuchawkę. Haluna długo stała nieruchoma. Pacjent nie żyje, powiesił się. Ta myśl nie chciała odczepić się od niej. Drażniła jej mózg. To niemożliwe, on na pewno żyje. Jeśli Pacjenta nie ma, to co ona tu robi? Opanowała ją gwałtowna złość. Jak on mógł tak po prostu odejść?! Później myślała długo o jego miękkich, długich włosach, czarnych oczach, ślicznej, pryszczatej twarzy, chudych rękach i nogach. Teraz już go nie ma. Odszedł, tak jak chciał. Tysiące myśli, każda nic nie warta, bo przy niej już nigdy go nie będzie. To moja wina, mogłam przynajmniej okazać mu uczucia, jakimi go darzę.

Skrzypnęły drzwi. Matka Haluny wróciła z pracy.

— Gosiu! List przyszedł do ciebie.

Od razu poznała pismo Huberta. List był krótki:

Rozejrzyj się — można się przestraszyć, tyle brudu dookoła. Wszystko emanuje chorymi myślami. Nie mam siły, przepraszam. Przepraszam, Kocham Cię, ale jestem tylko zwykłym ćpunem... Pokój, Miłość, Przyjaźń?

Hubert

Znowu jest mglisty poniedziałek. Możemy zobaczyć Halunę przechadzającą się ulicami. Ma teraz 26 lat, ale jej czerwone sznurówki nadal nurzają się w błocie, jak kiedyś... Staje, rozgląda się, rzeczywiście można się przestraszyć.

Wyszukuje wśród tłumu swoją przyszłą ofiarę. Najpierw z nią rozmawia, a później zaciąga na odwyk. Kocha ludzi i pomaga tym, którzy zostali odtrąceni i nie wiedzą, jak sobie pomóc. Stara się, aby nie było tyle brudu dookoła.

Rozejrzyj się i Ty, może jakiś Pacjent jest obok Ciebie.

Quing — japoński wojownik

Maciej Lutoborski kl.1b

Działo się to w starym, japońskim klasztorze o nazwie Hayougin. Pewnego zimowego ranka na świat przyszło dziecko, którego rodzicami byli: Wielki Mistrz — Czingkuin i jego żona, okrutna Yoka. Był to piękny chłopiec, którego nazwano imieniem Quing. Całe miasto przybrane było w kolorowe girlandy i kwiaty, a lud z przyspieszonym oddechem wyczekiwał tej radosnej chwili, kiedy malec ujrzy światło dzienne. Wreszcie na taras wyszedł sam Czingkuin i oświadczył zgromadzonym, iż mają oni swego następcę tronu.

— Hurra, hurra, hurra! — odezwały się jakieś głosy.

— Wiwat Wielka Yoka! — wtórowały im inne, dobiegające z drugiego końca dziedzińca. Jedynym niezadowolonym był znany wszystkim doradca Mistrza — piękny, młody i mądry Mulan. W przypadku, gdyby dziecko nie urodziło się, umarło przy porodzie lub gdyby była to dziewczynka, chłopak ten miał szansę zostać przyszłym Mistrzem. Teraz jednak wszystkie jego plany legły w gruzach i wiedział, że przez resztę swego życia może być tylko doradcą. Za to mały Quing, choć nie opuścił jeszcze ramion swej matki, zyskał już sobie olbrzymiego wroga.

Leniwe życie japońskiego klasztoru toczyło się powoli. Lud pracował, Wielki Mistrz zarządzał, a sławni samuraje ćwiczyli sztuki walki. Quing, zaś rósł jak na drożdżach i już w wieku sześciu lat ujawniło się jego zamiłowanie do broni i wojny. Mimo zakazu rodziców, wymykał się wieczorami ze swego pokoju i pod osłoną nocy, udawał się do pobliskiej stodoły. Należała ona do pewnego starca, który uczył przyszłego mistrza walki, władania mieczem i kijem, strzelania z łuku oraz rzucania gwiazdkami. Chłopak był niezwykle zdolny i pojętny, więc po niecałych dwóch latach treningu, opanował większość z tych sztuk. W wieku jedenastu lat stary mędrzec postanowił wystawić Quing'a do walki w powszechnie znanych zawodach, organizowanych przez jedynego w klasztorze rzeźnika — Huina. Ten z początku nie chciał się zgodzić na walkę, z obawy przed gniewem rodziców chłopca w przypadku jakichkolwiek uszczerbków na zdrowiu dziecka. Jednakże po długiej rozmowie ze starcem o umiejętnościach i ambicjach Quing'a zmiękło mu rzeźnicze serce i wpisał malca na listę uczestników. Do zawodów pozostało jedynie osiem dni, więc nie tracąc czasu, jeszcze tego samego dnia rozpoczęto mordercze treningi wytrzymałościowe. Gdy chłopak opanował już wbieganie na sąsiednią górę, przyszła pora na wzmocnienie mięśni rąk i brzucha. W tym celu Quing

przez cały dzień pomagał nosić wodę z pobliskiej studni, rąbał kamienie w kamieniołomie i przerzucał siano w stajni. Czas dłużył mu się niesamowicie, lecz chłopiec wytrwał do końca i gdy nadszedł dzień zawodów przygotowany był wspaniale.

— Oto proszę państwa Quing, syn samego Wielkiego Mistrza! — ozwał się głos komentatora. Ogromne było zdziwienie publiczności, gdy na ring przeciwko szesnastoletniemu dryblasowi wyszedł bardzo niepozornie wyglądający ich przyszły władca. Podczas zapowiedzi walki, tylnymi drzwiami do stodoły wślizgnął się niezauważony przez nikogo, ubrany w łachmany z kapturem na głowie sam Wielki Mistrz. Ubiór sprawił, iż nikt nie rozpoznał w nim swego przywódcy.

Walka rozpoczęła się i od razu widać było, że zapowiada się bardzo emocjonujący pojedynek. Mimo dużej różnicy wzrostu, wieku i wagi, mały Quing wcale nie odbiegał umiejętnościami od możliwości swego starszego kolegi, a czasem nawet ewidentnie wygrywał pojedyncze starcia. Dla urozmaicenia widowiska publiczność sama wybierała rodzaj broni, którą zawodnicy otrzymywali od swych podawaczy. Na pierwszy ogień poszły szable, następnie kije, maczugi i noże. Na zakończenie walki, która nie była rozstrzygnięta na niczyją korzyść, lud zgromadzony w stajni zdecydował o tym, iż zawodnicy mają zmierzyć się w walce wręcz. Wszyscy jednogłośnie stwierdzili, że mniejszy i słabiej zbudowany Quing nie ma najmniejszych szans. Jakże wielkie było zdziwienie, gdy już po dwóch minutach „malec” siedział na plecach swego starszego kolegi, trzymając go w niesamowitym uścisku i wykręcając jego rękę o prawie półobrót. Wtem zza jednego z filarów wyszedł jakiś starszy człowiek w bardzo pobrudzonym i podartym ubraniu, bijąc obu uczestnikom walki brawo. Widząc, że nikt nie może domyślić się, kim jest, zdjął kaptur. W jednej chwili wszyscy zgromadzeni poczęli kłaniać mu się i oddawać wszelkie honory należne Wielkiemu Mistrzowi.

— Brawo, Quing! — rzekł, podchodząc do nieco zmieszanego i zakłopotanego syna.

— Dzięki, ojcie — odpowiedział chłopak — Czy byłeś tu przez cały czas?

— Tak, od początku walki... i chyba jako jedyne ze wszystkich tu zgromadzonych, liczyłem na ciebie. Powiedz mi, synu, kto nauczył cię walczyć tak wspaniale?

— On — odparł bez wahania Quing, wskazując starca siedzącego w drugim końcu pomieszczenia.

— Zbliź się tu, starcze, niech zobaczą tego, który tak dzisiaj uradował me serce.

Wszystkie oczy zgromadzonego ludu zwróciły się ku ciemnemu kąтови, z którego po chwili wyszedł starzec, podpierając się laską.

— Słucham, Wielki Mistrzu.

— Czy to ty nauczyłeś wszystkich tych rzeczy mego syna?

— On jest niezwykle pojętny i nauczył się sam. Ja mu tylko pokazywałem ciosy i korygowałem jego błędy. Cała zasługa należy do niego.

— Dziękuję — urwał rozmowę Czingkuin i odwróciwszy się wyszedł tak cicho, jak się pojawił. Wszyscy odetchnęli z ulgą. Tłum powoli zaczął rozchodzić się do domów. Po chwili w stodole pozostał tylko starzec i Quing, który wprost nie mógł uwierzyć w to, co zaszło w ciągu ostatnich dwóch godzin.

— Dziękuję ci — chłopiec rzucił się do nóg swego nauczyciela.

— Wstań, chłopcze. Nie musisz dziękować, gdyż była to — jak mówiłem — tylko twoja zasługa. Widzisz, co zdziałać może silne pragnienie serca i duszy. To powiedziawszy wyszedł zostawiając chłopca samego.

— Pragnienie serca i duszy... — pomyślał Quing — co to może znaczyć?

Rozmyślając, opuścił stodołę starannie zamknawszy jej wielkie, skrzyżnięte drzwi.

Czas płynął nieubłaganie, Wielki Mistrz się starzał, a jego syn doskonalał swe umiejętności wyrastał na coraz to piękniejszego mężczyznę. Regularnie brał także udział w tradycyjnych walkach u rzeźnika.

Mniej więcej w środku zimy, przyszedł do swego ojca prosząc o radę:

— Ojcze, powiedz co mam robić?

— A co się stało, mój synu?

— No, ja, wiesz... — jąkał się Quing

— Wyduś to z siebie wreszcie — ponaglał Czingkuin.

— ...Zakochałem się — wykrztusił wreszcie młodzieniec okrywając się rumieńcem.

— Aaaaaach, brawo, mój synu — krzyknął z zachwytem ojciec — Kim jest twoja wybranka? Każ ją tu przyprowadzić, niechaj zobaczę przyszłą matkę mych wnucząt.

— Dobrze, ojcze. I jeszcze jedna sprawa...

— Taaak?

— Proszę nie rozpowiedz tego wszystkim. Wolałbym przez jakiś czas zachować to w tajemnicy, również przed matką.

— Jak chcesz. Ostrzegam cię jednak, że nie będzie to łatwe. Wiesz bowiem, jak szybko roznoszą się wieści w naszym małym miasteczku, a ukrycie tego przed matką choćby przez krótki czas, będzie niewiarygodnie skomplikowane. Jednakże zawsze możesz na mnie liczyć.

— Dziękuję, ojcze. Mą wybrankę przyprowadzę do stodoły dziś wieczór, więc jeśli chcesz ją zobaczyć, zjaw się tam po zachodzie słońca, sam.

— Dlaczego nie przyprowadzisz jej do pałacu?

— Wzbudziłaby z pewnością podejrzenia, a wiesz, że nie zależy mi na rozgłosie.

— Dobrze, synu, będę tam o zmierzchu.

Po rozmowie wybranki Quinga z ojcem, zdecydowano, iż ślub odbędzie się niebawem i jak przystało na syna Wielkiego Mistrza, na uroczystość tę zaproszona będzie cała miejska ludność.

Wreszcie nadszedł ten upragniony dzień. Dziewczyna jednak przez długi czas nie zjawiała się na specjalnie do tego ślubu przygotowanej scenie. Zaniepokoiło to Pana Młodego, który udawszy się do jej pokoju, zawył niczym zranione zwierzę. Ten głos nie wróżył nic dobrego, więc sam Mistrz zerwał się ze swojego tronu i pobiegł w kierunku, z którego dochodził ów przerażający dźwięk. To, co zobaczył, podcięło mu nogi. Na ziemi leżał jego syn, tuląc do siebie swą niedoszłą żonę. Ta jednak nie odwzajemniała uczuć — spoczywała bowiem bez ruchu, martwa, przebita prawdopodobnie nożem. Jej długie czarne włosy okrywały prawie nagie ramiona, zanurzając się częściowo w wielkiej kałuży krwi.

— Kto śmiał zrobić coś tak okropnego? — myślał Mistrz, z trudem opanowując płacz.

— Wezwać strażę, niech zablokują wszystkie wyjścia, wszystkie bramy, niech przeszukają wszystkie domy, wszystkich ludzi, niech znajdą mordercę i przyprowadzą go do mnie, a zazna śmierci tak długiej i bolesnej, jak jeszcze nikt! — krzyczał.

Straże rozbiegłszy się po wszystkich zakątkach miasta poczęły szukać osoby, która tak bardzo unieszczęśliwiła ich pana i jego syna. Poszukiwania nie trwały długo, gdyż było to małe miasteczko. Już po dwóch dniach jakiś skuty człowiek trafił do komnaty Wielkiego Mistrza. Ten poznał go. Był to Mulan, jego osobisty doradca.

— Czy to prawda, że zabiłeś narzeczoną mego syna?

— Tak, panie.

— Wiesz, że karą za to będzie śmierć tak straszna, jakiej nikt jeszcze nie zaznał?!

— Tak, panie.

— Czemu więc to zrobiłeś?

— ...

— Pytam, czemu ją zabiłeś?

— Z żądzy zemsty.

— Zemsty za co? Nie chciała cię? Skrzywdziła? A może masz inny powód? Odpowiadaj!!! Muszę wiedzieć, dlaczego zginęła!

— Z zemsty za urodzenie się Quinga. Gdyby nie on, ja zostałbym następcą twego tronu.

— A skąd to wiesz?

— Jestem twoim doradcą, musiałbyś to uczynić. Tylko ja jestem wystarczająco mądry, by przejąć władzę w klasztorze.

— Jesteś głupi jak but, a posadę zawdzięczasz tylko memu szacunkowi dla twego ojca, z którym znałem się od dziecka. To on mnie poprosił, by uczynić cię moim doradcą. Nie ma w tym ani krztyny twojej zasługi.

— Jak to nie?!!! A wszystkie plany?! Przecież ustalałeś je ze mną!

— Tobie tylko o nich mówiłem, w rzeczywistości nie brałem pod uwagę twego zdania. Wszystko omawiałem jedynie z własnym synem.

Rozmowa trwała jeszcze długo, po czym więźnia zaprowadzono do sali tortur i szczelnie zamknięto drzwi, aby żadne odgłosy nie wydostały się poza to pomieszczenie. Tak zakończyła się egzystencja przemądrzałego i zbyt pewnego siebie doradcy Czingkuina — Mulana.

Po śmierci Czingkuina nowym Wielkim Mistrzem został Quing. Był on bardzo mądrym przywódcą, lud go lubił, a miasteczko miało się bardzo dobrze. Jednakże w sercu Quinga nadal była gorycz po stracie ukochanej. Młody Mistrz ucichł, przestał pokazywać się w miejscach publicznych i brać udział w tradycyjnych zawodach sztuk walk. Nikt nie mógł go rozbawić i choć na chwilę odciągnąć jego myśli od dawnej wybranki.

Lecz pewnego dnia spokojne życie miasteczka przerwał najazd nieprzyjacielskich wojsk z klasztoru znajdującego się po przeciwnej stronie góry. Quing wyrwał rankiem przez okno i przeraził się. Na całym wzgórzu widać było nieprzyjacielskie wojsko — kolorowe kaptury sunęły wśród drzew. Mistrz zerwał się i wybiegłszy na korytarz zawołał:

— Samuraje, do broni! Wróg czai się na naszych wzgórzach myśląc, że zaatakuje nas z zaskoczenia, lecz my będziemy sprytniejsi i przygotowujemy się do walki. Teraz wszyscy w największym skupieniu idźcie się ubrać

i wziąć broń. Kobiety i dzieci niech przyjdą w ciszy do mego pałacu, a ukryją je w podziemiach.

Tak mówiąc ubrał się w strój samurajski i podszedł do okna, aby jeszcze raz zobaczyć pozycję wroga.

— Ciężko będzie — pomyślał — mówiono, iż wojska Komodo są świetnie wyszkolone i jeszcze nigdy nie przegrały wojny. Teraz jednak nadejdzie kres ich zwycięstw. I spokojnie odszedł od okna. Następnie zszedł na dół, gdzie w absolutnej ciszy kobiety i dzieci przemykały się do piwnic, i ruszył przez dziedziniec do owego starca, który nauczył go o walce wszystkiego.

— Witaj — powiedział starzec odwrócony do ściany — czego pragniesz, Quingu?

— Rady, Mistrzu... Tak, rady i mej broni!

— A po co to ci broń twa teraz potrzebna?

— Wojna idzie, wojska Komodo stoją przed naszymi bramami!

— A ty taki spokojny?

— Tak, Mistrzu. Jestem taki spokojny, gdyż wiem, że pośpiech może nas tylko zgubić. Tak kiedyś mówiłeś.

— Widzę, że me słowa nie poszły na marne. Co się dzieje w mieście? — spytał powoli starzec.

— Samuraje są już przygotowani, a kobiety i dzieci ukryłem na wszelki wypadek w piwnicach mego zamku.

— Mądrze robisz, chłopcze!

— To twoja szkoła, Mistrzu. Powiedz mi więc tylko, jak mam walczyć?

— Kieruj się głosem serca i umysłu — odpowiedział starzec z takim spokojem, jak gdyby to była przyjacielska rozmowa, a nie plany wojenne.

To mówiąc wstał i podchodząc do starej japońskiej komody wyjął z niej broń, którą kiedyś powierzył mu Quing w celu przechowania jej na wypadek wojny. Były to dwa małe sztylety do rzucania, osiem ośmiokątnych gwiazdek, długi bambusowy kij, zakończony średniej wielkości kamieniami oraz znany tylko Quingowi i starcowi ogromny, ponad metrowy samurajski miecz. Mistrz wziął do ręki kij, omówił krótko strategię walk, pożegnał się i wyszedł.

Na placu, w zwartych szeregach, czekało na Quinga trzy tysiące świetnie wyszkolonych wojowników i choć ten wiedział, że oddziały Komodo są liczniejsze, wierzył w swych samurajów i w to, że mądrością i odwagą pokonają przeciwnika.

Wreszcie nadszedł moment rozpoczęcia walki. Oddziały Komodo nadal ukrywały się w pobliskich zaroślach mając pewność, iż zaskoczą wroga. Już dwóch potężnych strażników złapało za korbę otwierającą bramę, kiedy Quing krzyknął:

— Stójcie. Przecież wychodząc tędy, wychodzimy na pewną śmierć. Niech pomyślę...

— Wiem — wykrzyknął nagle — Posłuchajcie mnie teraz uważnie. Stu najodważniejszych z was niech teraz wyjdzie przed szeregi.

Wyszło o wiele więcej wojowników, lecz po chwili Wielki Mistrz zredukował tę liczbę równo do stu.

— Ci zostaną ze mną. Reszta podzieli się na trzy grupy pod dowództwem ciebie, ciebie i ciebie — tu wskazał trzech najstarszych, a zarazem najmądrzejszych samurajów — wyjdzie tylną bramą i cicho, okrążając wzgórze zajdzie na tyły wroga. Tam zajmiecie jak najlepsze pozycje strzeleckie i poczekacie na mój znak. Potem ruszycie do ataku.

— Panie — zapytał jeden z wytypowanych wojowników — jak rozpoznamy twój znak?

— Bardzo mądre pytanie, dobrze zrobiłem wybierając właśnie ciebie na przywódcę jednej z grup.

— Jestem zaszczycony — zrobię co tylko w mojej mocy, by Komodo tę wojnę przegrał.

— To dobrze. A więc tak. Ja z tym tu małym oddziałem otworzymy bramę i zaczniemy powoli wychodzić. Gdy Komodo zaatakuje, wrócimy szybko z powrotem i zamkniemy bramę. Oddziały nieprzyjaciela ukryją się znów w krzakach czekając na nasze następne wyjście. Powtórzymy to trzy razy. Za trzecim razem wkroczycie do akcji: wy — z prawej strony, wy — z lewej, a wy — od tyłu. Kiedy zostaną zaskoczeni atakiem od tyłu, ostrzelacie ich.

Tu znów wskazał poszczególne oddziały:

— My wkroczymy do akcji od frontu. Ale pamiętajcie, oddziały Komodo są świetnie wyszkolone i jeśli ataku nie przeprowadzimy szybko i my możemy ponieść duże straty. Jakies pytania?

Odpowiedziało mu milczenie.

— No to do boju! Pamiętajcie o absolutnej ciszy. Jeśli wróg was usłyszy, cała nasza akcja skończy się klęską.

Gdy wszyscy byli już na pozycjach, wrota zostały otwarte, a oddział Quinga na kilka sekund wyskoczył przed bramę i po chwili wrócił. Powtórzono to jeszcze raz. W tym momencie oddziały będące na tyłach wroga wiedziały, gdzie on się ukrywa. Rozpoczęto przygotowania sprzętu strzeleckiego. Wreszcie nadeszło trzecie otwarcie bram i gdy tylko oddziały Komodo wynurzyły się z krzaków, posypał się na nich grad strzał. Prawie połowa nieprzyjaciół padła nieżywa na ziemię. Atak był tak niespodziewany, że zanim wróg zdążył się przegrupować, odwrócić spadła na niego kolejna porcja strzał. Wtedy to oddział Quinga opuścił klasztor i z całym impetem rzucił się z mieczami w rękach na zdeorientowanego takim przebiegiem wydarzeń przeciwnika.

Dumny ze swoich samurajów przywódca wyjechał na koniu przed bramy klasztoru i stanąwszy pod jego murami patrzył na pogrom wojsk nieprzyjacielskich. Wiedział, że miasteczko zostało uratowane a podstępni sąsiedzi na długie lata zapamiętają swoją klęskę. Przepelniały go radość i spokój płynące z poczucia dobrze wykonanego obowiązku.

Wtem z okolicznych krzaków wybiegł jeden z wojowników Komodo, napiął łuk i wycelował w Quinga. Rozległ się świst strzały.

Padając na ziemię Młody Mistrz miał wrażenie, że osuwa się prosto w ramiona ukochanej...

Rozejrzyj się

Rafał Idzikowski, kl. 1f

Jestem wielkim miłośnikiem przyrody i dlatego chętnie spędzam każdą swoją wolną chwilę z dala od miasta, na działce. Tam bardzo lubię rozglądać się i podziwiać piękno natury. Sprawia mi to wielką radość i nabieram chęci do życia. Często w czasie wakacji chodzę po lasach —

spaceruję po dobrze znanych mi ścieżkach, odkrywam nowe, ustronne zakątki.

Właśnie ostatniego lata wybrałem się pewnego dnia na leśne wędrowanie. Było wcześniej, ale słońce już stało wysoko i igrało z lasem tysiącem zielonych cieni i blasków. W puszystym mchu czerwieniły się jagody migocząc brylantowymi kropelkami rosy. Złotopomarańczowa kula słońca coraz intensywniej rozjaśniała leśne mroki.

Szedłem ścieżką po igliwiu i zeschniętych gałązkach, raz po raz schylając się po ukrytą wśród liści szkarłatną poziomkę. Las nabierał ciepła od słońca, a spomiędzy drzew słychać było śpiew ptaków. Z jednej choinki na drugą skoczyła żwawo ognistopłowa wiewiórka z imponującą kitką i kremowym brzuszkiem. Gdzieś w pobliżu szumiała rzeka, otulona zaroślami. Lekki, ożywczy wiaterek poruszał gałęziami majestatycznych świerków. Wchodziłem coraz głębiej w mrokliwą gęstość lasu, błądziłem ścieżkami z przydeptaną, leśną trawą. Naraz, niespodziewanie dla siebie samego, dotarłem na odległość kilku kroków zaledwie do szklącej się, zielonobłękitnej tafli małego stawu. Był skąpany w słońcu i wyglądał jak baśniowe lustro. Przy brzegu błyszczącej tafli, na jednej, patykowatej nodze, stał czarny bocian. Zacząłem skradać się powoli w jego kierunku, pokonując bujne zielska i drapieżne krzewy. Ale trzask nadepniętej przeze mnie gałązki spłoszył ptaka, zanim zdołałem mu się przyjrzeć z bliska. Stałem zachwycony jego czarnymi, błyszczącymi piórami, białym brzuszkiem i czerwonym dziobem, który pozwalał odróżnić ciemną sylwetkę bociana od ocienionych drzew przeciwległego brzegu. Przez moment na wodzie powstały kręgi, które wkrótce zniknęły. Na środku widać było łódki a w nich wędkarzy łowiących ryby od rana do wieczora.

Cienie choinek tańczyły lekko po lustrze wody nieruchomego i jakby uśpionego stawu. W pobliskiej kępcie polnych kwiatów były w gościnie trzmiele, motyle i pszczoły. Szum malutkiego strumyka orzeźwiał nieco samotność tej okolicy.

Siedząc pod brzozą, której listki szeleściły w takt koncertujących opodal świerszczy, poddawałem się urokowi stawu i jego ożywionych i nieożywionych towarzyszy. Cieszyłem się wielością barw i odcieni.

Miałem wrażenie, że jestem w jakiejś bajce, która tak naprawdę jest tylko wytworem mojej wyobraźni. Wtedy odkryłem swój świat, gdzie moje życie nabiera sensu. Dopiero późnym popołudniem, razem ze słoneczną pomarańczą, która szła za mną jak ogromny balon ciągnięty na niewidzialnym sznurku, wróciłem do domu i do rzeczywistości.

Dzięki tej wyprawie zrozumiałem, gdzie jest moje miejsce. Dlatego uważam, że każdy człowiek powinien rozejrzeć się wkoło i znaleźć sobie taki własny świat.

Jeśli nie lektury, to co?

Aneta Antosik, kl. IVc

Fascynacje czytelnicze maturzysty 2001.

„... wielka poezja, będąc wielką i będąc poezją, nie może nas nie zachwyć, więc zachwyca...” te słowa wypowiedziane ironicznie przez Gombrowicza w jednej z jego książek pt. „Ferdydurke” można, moim

zdaniem, odnieść także, a może przede wszystkim, do kanonu lektur szkolnych. Pozycje w nim zawarte są dla większości moich rówieśników zupełnie nieatrakcyjne.

Być może rację mają ci, którzy twierdzą, że moje pokolenie, często określane mianem „dzieci — snickersów”, to pokolenie konsumpcyjne, pozbawione systemu wartości i dobrego smaku. Niemniej jednak nie zmienia to faktu, iż obecnie obowiązujący kanon lektur szkolnych jest dla nas po prostu nudny. Dlaczego? Odpowiedzi na to pytanie są dość zróżnicowane, przede wszystkim dlatego, że w niewielu z tych książek potrafimy odnaleźć siebie. Realia ich fabuły i poglądy bohaterów są zupełnie inne niż współczesne. Żadna z lektur nie mówi o młodych uzależnionych od alkoholu, narkotyków czy korzystania z Internetu. Żadna z nich nie daje odpowiedzi na pytanie, jak żyć w świecie, o którym śpiewa jeden z polskich zespołów rockowych:

*Fabryka małąp, fabryka psów,
rezerwat dzikich stworzeń
zajadłych tak, że nawet Bóg,
i Bóg im nie pomoże.
Gdzie spojrzę — dookoła dżungla!...]
dokoła wre stan totalnej wojny,
zabijać się — to jedyny sport.*

Wielu młodych nie widzi innej możliwości, jak tylko dostosować swoje oczekiwania do tego, co oferuje im świat, kreowany w znacznej mierze przez media. Stąd fascynacje, z jednej strony techniką i jej błyskawicznym rozwojem, a z drugiej — seksem, przemocą i narkotykami, których solidną „porcję” codziennie serwują nam prasa i telewizja. Tylko nieliczna grupa, w tym i ja sama, decyduje się na poszukiwanie innych wartości, które niesie ze sobą np. literatura. Na ogół jednak szukamy ich poza kanonem lektur szkolnych. Fascynacja tymi książkami spowodowana jest, jak sądzę, przede wszystkim ich odmiennością od realnego świata, możliwością oderwania się od niego chociaż na krótką chwilę.

Jednak, jeżeli chodzi o moje prywatne fascynacje czytelnicze, to pierwsze miejsce zajmuje wśród nich najważniejsza pozycja z listy lektur — Biblia. Księga ta jest dla mnie ważna nie tylko dlatego, że jestem osobą wierzącą. Urzekła mnie przede wszystkim swoim bogactwem językowym i uniwersalnością poruszanych tematów. Sięgam do niej dość często, w różnych sytuacjach, niezmiennie jednak zaskakuje mnie różnorodność gatunków literackich i aktualność problematyki. W wielu bohaterach odnajduję siebie samą, swoje problemy, ale przede wszystkim Biblia pozwala mi odnaleźć odpowiedzi na nurtujące mnie pytania. Jest to dla mnie szczególnie ważne, ponieważ moje poglądy są często zupełnie sprzeczne z sądami świata, w którym żyję. W związku z tym często rodzą się we mnie wątpliwości na temat mojego postępowania i tego, czy ma ono sens. Biblia skutecznie je rozwiewa, a jej stałość jest dla mnie oparciem w trudnych chwilach.

Kolejną książką, która mnie zafascynowała, jest także lektura. To „Mały Książę” Antoine de Saint-Exupéry’ego. Ta piękna baśń o poszukiwaniu sensu życia jest dla mnie pozycją zupełnie wyjątkową pod każdym względem. Utwór ten wzrusza mnie przede wszystkim ze względu na marzycielską postawę głównego bohatera. Początkowo Książę wydawał mi się wręcz śmieszny ze swoją dziecięcą ufnością, potem jednak doszłam do

wniosku, że jeżeli ktokolwiek mógłby powstrzymać falę cynizmu i pesymizmu zalewającą świat, to tylko on. Jego wiara w ideały i niezłomność w dążeniu do wyznaczonego celu bez względu na cenę, jaką przyjdzie mu za to zapłacić, pozwalają mi zachować przekonanie o istnieniu wartości takich jak miłość czy przyjaźń. Są one dla mnie źródłem siły w walce z wszechogarniającą komercjalizacją rzeczywistości.

Dobrze widzi się tylko sercem, najważniejsze jest niewidoczne dla oczu.

— słowa te pozwalają mi zachować właściwą ostrość widzenia, przywracają dystans do tego, co dzieje się w moim życiu. Ponadto, niezależnie od tego, co napisałam wcześniej, książka ta jest po prostu piękna.

Ostatnio, zaintrygowana kontrowersyjnymi opiniami, które do mnie docierały tak z mediów, jak i od znajomych, postanowiłam sięgnąć po najnowszą powieść Andrzeja Sapkowskiego. Lubię fantastykę, jednak jeśli chodzi o polskich twórców tego gatunku, odczuwam dość daleko posunięty sceptycyzm. Być może wynika to z faktu, że jeszcze w szkole podstawowej zostałam zmuszona — właśnie przez kanon lektur szkolnych — do przeczytania „Opowieści o pilocie Pirksie” Stanisława Lema. Czytanie tej książki było dla mnie istną „drogą przez mękę”. Tym niemniej, postanowiłam przeczytać przynajmniej część „Sagi o Wiedźminie” (cała seria liczy pięć tomów)... i nie żałuję. Powieść ta to doskonałe połączenie czytała, bestselleru i arcydzieła. Ciepły klimat, ciekawa konstrukcja i pełna nieoczekiwanych zwrotów akcji fabuła skłaniają nie tylko do niepohamowanych wybuchów śmiechu w najmniej oczekiwanych miejscach, takich jak zatłoczony autobus czy sala wykładowa, ale też do refleksji; pozwala lepiej poznać prawdę o nas samych jako spadkobiercach kultury minionych epok. Ta wciągająca opowieść o Geralcie, jego walkach z potworami, miłosnych perypetiach z czarodziejką Yenifer i niesamowitych przygodach związanych z poszukiwaniem zaginionej cintryjskiej księżniczki Cirilli, to nie tylko piękna baśń okraszona dużą dawką niekiedy dość rubaszego humoru, chociaż z całą pewnością jest to jedna z głównych zalet tej książki. „Saga o Wiedźminie” to utwór nie pozbawiony wątków współczesnych — problematyka społeczna, poszukiwanie swojego miejsca na ziemi, walka o miłość drugiej osoby, to problemy nieobce bohaterom Sapkowskiego. Stwierdzenia typu:

Każdy szermierz dupa, kiedy wrogów kupa.

Jedyną czynnością, która dobrze wychodzi samotnym, jest samogwałt.

sąsiadują z wypowiedziami o charakterze podobnym do tej:

O miłości wiemy niewiele. Z miłością jest jak z gruszką. Gruszka jest słodka i ma kształt. Spróbujcie zdefiniować kształt gruszki.

Zawierają one pewne ogólne prawdy, są zaskakująco celne, chociaż niewątpliwie dosadnie sformułowane. Po początkowym uśmiechu niedowierzania, wywołują refleksję. A żywy i bardzo barwny język, jakim są wypowiedziane te uwagi, sprawia, że łatwiej trafiają one do przeciętnego czytelnika. Ponadto Andrzej Sapkowski, którego powieści zalicza się do gatunku fantasy, znacznie wykracza poza formę gatunkową. „Saga o Wiedźminie” to jakby jedna z uwspółcześnionych satyr księcia poezji — Ignacego Krasickiego. Walka dobra ze złem, miłości z nienawiścią i przemocą dostosowane są do realiów końca XX wieku. Dzięki temu powieść jeszcze bardziej zyskuje na atrakcyjności. Sapkowski z igrasce mistrzowską

precyzją połączył język staropolski i realia rodem ze średniowiecza ze współczesną problematyką. Stworzył dzieło sprzeczne z dotychczasową konwencją literacką, a zrobił to w sposób dowcipny i niecodzienny. To właśnie jest, według mnie, głównym atutem książki; sprawia, że czytelnik wprost „pochłania” kolejne tomy serii, z wypiekami na twarzy towarzyszy bohaterom w ich kolejnych przygodach. Do niedawna byłam zwolenniczką poglądu, że książka, którą czyta się jednym tchem, nie należy do literatury zbyt wysokiego lotu. Perypetie Geralta z Rivii i jego przyjaciół całkowicie zrewolucjonizowały mój punkt widzenia w tej sprawie. Kolejne tomy czytałam niemal bez przerwy, wstrzymując oddech przy gwałtownych zwrotach akcji i prawie płacząc przy bardziej wzruszających momentach.

Podsumowując, mogę powiedzieć tylko jedno: niezależnie od preferencji literackich „Sagę o Wiedźminie” przeczytać trzeba!

Kolejnym autorem, którego twórczość mnie zafascynowała, jest Paulo Coelho. Jego książki: „Alchemik”, „Weronika postanawia umrzeć” czy „Pięta góra” zdobyły moje wielkie uznanie przede wszystkim ze względu na niecodzienny sposób ukazywania problemów, liczne nawiązania do Biblii i propagowanie wartości takich jak miłość, wiara, przyjaźń i nadzieja. Pisarz ten, podobnie jak jeden z polskich poetów (nota bene mój ulubiony), ks. Jan Twardowski, w bardzo przystępny sposób mówi o trudnych sprawach, pojęciach, które dla znacznej części społeczeństwa uległy dewaluacji. Przypomina o wartościach, które odchodzą powoli do przeszłości, skłania do refleksji nad własnym życiem. Jego powieści mają jeszcze jedną zaletę — nieprzemijającą aktualność. Dowodem tego mogą być słowa:

Na co zdadzą się pieniądze, jeśli trzeba umrzeć? Rzadko pieniądze mogą wybawić kogoś od śmierci.

czy też:

Bóg wysłuchuje tych, którzy błagają o łaskę zapomnienia dla nienawiści, lecz głuchy jest na głos tych, którzy pragną uciec przed miłością...

Z kolei powieści Joanny Chmielewskiej są dla mnie atrakcyjne, ponieważ niosą ze sobą olbrzymią dawkę humoru i optymizmu; zawierają ciekawe wątki kryminalne. Zaskakujące sytuacje, zbiegi okoliczności graniczące z absurdem pozwalają na oderwanie się od rzeczywistości. Kunsztownie zbudowana fabuła osadzona w peerelowskiej rzeczywistości jest źródłem nie tylko doskonałej rozrywki, ale też niebanalną lekcją historii tamtych lat potraktowaną z przymrużeniem oka.

W opozycji do wyżej wymienionych dzieł pozostaje francuski pisarz Roland Topor ze swoim zbiorem opowiadań zatytułowanym „Cztery róże dla Lucienne”. Jego utwory emanują brzydotą, okrucieństwem i turpizmem. Wszechobecna w nich przemoc, upadek moralności działają na czytelnika podobnie jak średniowieczny motyw *dance macabre* — budzą obrzydzenie, a zarazem fascynują. Są odpowiedzią na rzeczywistość, którą codziennie ukazują nam mass-media.

Chrystus zdecydowanym krokiem [...] szedł po wodzie. [...] Krzyk wyrwał się z piersi apostołów.

Za późno. Jezus nie zauważył skórki od banana. W czasie krótszym, niż można to sobie wyobrazić, poślizgnął się i roztrzaskał czaszkę o grzbiet fali.

Te słowa wywołują szok, ale też skłaniają do refleksji na temat moralności współczesnego człowieka i kryzysu wartości w świecie, którego bogiem jest pieniądz. W podobnej konwencji utrzymane są pozostałe opowiadania. Topor bezwzględnie łamie wszelkie dotychczasowe tabu, jego zamiarem jest nie tyle szokować, co zmusić czytelnika do zastanowienia. I właśnie ta żelazna konsekwencja, z jaką buduje świat fabularny swoich opowiadań, powoduje, że mimo początkowych odruchów wymiotnych wywołanych opowiadaniem „Sznyceł górski”, z uporem brnęłam przez kolejne, aż do samego końca. Czy było to spowodowane fascynacją? Chyba nie. Opowiadania te mają jednak w sobie coś, co sprawiło, że choć czytałam je jakby wbrew sobie, nie mogłam przestać. Jeżeli mogę posłużyć się takim kryterium, jest to anty-fascynacja. Jednak, jak zgodnie twierdzą psychologowie i teologowie, zło fascynuje. Moja osoba jest po prostu potwierdzeniem tej tezy.

Jeśli chodzi o poezję, od kilku już lat niezmiennie fascynują mnie wiersze Haliny Poświatowskiej, ks. Jana Twardowskiego i Rafała Wojaczka. Główną tego przyczyną jest, jak sądzę, fakt, iż poruszają one sprawy, które mnie bezpośrednio dotyczą. Wiara, miłość nieodłącznie związana z erotyką, poszukiwanie sensu życia i nieuchronność śmierci to tylko niektóre z nich.

*Ugryźć kromkę, by stwierdzić, że żyto
Zjadły szczury i piekarz też zginął [...]
Wyrzec słowo, by stwierdzić, że głos
Jest krzykiem i nikogo to nie obchodzi.*

Cytat ten doskonale odzwierciedla moje (i myślę, że nie tylko moje) zagubienie w świecie, lęk przed samotnością tak powszechny w dobie kultury masowej. Nie chcę być tylko jedną z wielu, szukam więc czegoś, co pozwoli mi zminimalizować moje obawy, albo przynajmniej je zrozumieć. Za to właśnie cenię Wojaczka. Miał odwagę być sobą, nie bał się głośno wyrażać swoich uczuć. Jeśli mam być całkiem szczerą, to zazdroścę mu tej, w sumie chyba straceńczej odwagi.

Z kolei poezja Poświatowskiej wyraża szaloną pasję życia i ogromną intensywność doznań. Poetka bez żenady mówi o miłości fizycznej, pożądaniu i wpływie namiętności na życie człowieka. Robi to jednak w sposób niezmiernie subtelny, „tłumaczy” je na język natury, nadaje im barwy i zapachy. Pozostawia je jednak w formie delikatnego szkicu; właśnie ta nieodookreśloność sprawia, że jej poezja jest dla mnie tak interesująca. Innym tematem, którego Poświatowska nawet nie próbuje unikać, jest śmierć. Jak powiedział o niej Stanisław Grochowiak: „całą sobą obrócona w krainę cienia, pozostawiła za sobą smugę światła”. Ogromny ładunek doznań, jaki zawierają w sobie jej wiersze, doskonale odzwierciedla wszechobecny dzisiaj pęd ku życiu, rozpaczliwą próbę przeciwstawienia się nieuniknionemu i nieznanemu. Śmierć od zawsze stanowi dla ludzkości mroczną zagadkę pozbawioną rozwiązania aż do samego końca. Jak czytamy w jednym z wierszy:

*Na krawędzi mijania nie ma pocałunków nie ma zapachów ani kolorów
[...] wąskie światło ciemnieje i brzeg tak wyraźnie urywa się — ból na
krawędzi mijania. . .*

Współistnienie świata ludzi i świata przyrody, tak wyraźnie widoczne w wierszach Poświatowskiej, przekonuje o jedności i harmonii, mimo po-

zornej antynomii między rzeczywistością a światem uczuć. Jest dla odbiorcy pocieszeniem, ukojeniem strachu przed śmiercią, jednocześnie nadaje swoistą „świeżość” takim pojęciom jak pożądanie czy namiętność. Dzięki temu ta poezja może być i jest, przynajmniej dla mnie, bardzo atrakcyjna.

Jakie są fascynacje czytelnicze maturzysty 2001 roku? Z całą pewnością bardzo zróżnicowane. Nie od dziś wiadomo, że gdzie dwóch Polaków, tam trzy zdania. Zawierają w sobie próbę odpowiedzi na pytania, które często zadaje sobie współczesna młodzież — o miłość, sens życia, śmierć i to, co po niej następuje. Jednocześnie dają nam możliwość wytchnienia od codzienności i tych, nieraz bardzo trudnych, poszukiwań konkretów; wartości, na których moglibyśmy zbudować szczęśliwe życie. Poza tym, jak powiedzieli starożytni — *de gustibus non est disputandum* i trudno mi się nie zgodzić z tym stwierdzeniem...

Bibliografia:

1. W. Gombrowicz „Ferdydurke”
2. Lady Pank „Fabryka małp”
3. A. de Saint-Exupery „Mały Książę”
4. A. Sapkowski „Saga o Wiedźminie”
5. P. Coelho „Alchemik”, „Pięta góra”
6. R. Topor „Cztery róże dla Lucienne”
7. R. Wojacek „Wiersze”
8. H. Poświatowska „Wiersze wybrane”

Wiersze

Magdalena Zembrzuska, kl. 1f

Zamknięta w czterech ścianach,
 Obserwowana przez szafkę, biurko,
 czuję się ich więźniem.

Przytłoczona sensem i bezsensem życia,
 siedzę i słucham:

Tylko wolność,
 wolność, którą kocham i rozumiem,
 wolność, która pozwala mi oddychać,

— więc czemu się duszę?